Lwów 18. Października **№ 124.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartal. 1 Złr. 30 kr. miesięcznie 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr. 20 kr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt wprzedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr. za następ. po 1½ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

JAK TO BYWAŁO.

przez

Oswalda Pietruskiego.

V.

Intrygantka warszawska.

(Ciąg dalszy.)

Koniuszy wszedł do domu, a służba jeszcze się przechadzała. Pan Ignacy doskonale ją naprzeklinał.

— Biedny Karyś! mówił jeden głaszcząc jednego brytana, musi być przykuty, a on by także chciał wolno pobiegać.

— To prawda! na co trzymać brytany, jeżeli na noc mają być na uwięzi.

— Co wam do tego! tak pani każe, bo ją głowa boli, jak psy szczekają po pod okna.

— To także kaprys pański! prawda panie Jakóbie.

— Milczałbyś i basta. My słudzy, nam za to płacą.

— Ale dziś coś cicho u szewca.

— Gdzie tam! to dziś niedziela! oni piją aż do poniedziałku.

— Żeby przynajmniej tego szewca ztąd wyforować, bo to wstyd przecie. Jak nas w mieście pytają gdzie my mieszkamy, to się mówi: tam mieszkamy koło szewca.

— A szewcy znowu jak ich pytają o majstra i warsztat, powiadają: tam koło książęcego domu.

— Albo ten gołębnik! dalibóg mam nieraz ochotę podpalić go.

— Abyś pękł, pomyślał pan Ignacy!

— No chodźcie już!

I pomału zaczęli się rozchodzić! Jeden z nich odbywający zapewne urząd stróża nocnego najdłużej pozostał, obchodząc wszystkie kąty.

— Zamknąłbym bramę, mruczał; ale Janka jak zwykle dotąd niema. Hula sobie! ale dobrze mi za to płaci. Jednakże dziwna zkąd ma zawsze pieniądze. A co mnie do tego? Ot szczęście! i u pani ma łaskę, kaprys! kaprys! ot te kaprysy!

Pan Sztrom zniecierpliwił się, ale to nic nie pomogło. Jeszcze czas jakiś odzywały się różne z domu głosy, to jeden głośniej zagadał, to się drugi rozśmiał, inny ziewnął, to drzwi skrzypnęły... Aż wreszcie ostatnie pogasły światła i cicho zrobiło się na dziedzińcu pańskim, cicho było na podwórku chudopacholskiem.

Położenie pana Ignacego nie było zbyt wesołe, bo mu było i niewygodnie i doskonale zimno, mianowicie w nogi, które niemieszcząc się w krótkim gołębniku, zawieszone były w powietrzu. Już chciał złazić, bo nóg nieczuł prawie, gdy nagle coś skrzypło, ale tak cicho, że z początku myślał, czy to nie sam poruszył gołębnikiem. Spojrzał jednakże przed siebie i postrzegł jak przez lekko uchyloną bramę dwóch weszło mężczyzn. Jeden z nich był już stary i pochylony, drugi młody jeszcze i pełen urody.

Stanęli oba stąpając po cichu pod oknem na które najwięcej uważał pan Ignacy, stosownie do przestrogi panny Viebig.

— Per la fenetra! ozwał się z cicha starszy.

W tej chwili okno się otworzyło ze środka, młodzian wskoczył przez nie i myśląc zapewne że nie dosyć zgrabnie to uskutecznił, pożegnał towarzysza tym samym językiem:

— Col pie di piombo!

Trzecia biła na miejskich zegarach, gdy pan Ignacy Sztrom usiadł przy łożu panny van Viebig, tak okrytej doskonale że bety jej łóżka sufitu prawie dosięgały. Opowiedział co widział, popijając doskonałą kawę; poczem babina dobyła z pod poduszki przygotowane już zapewne pieniądze i wyliczyła mu na dłoń dwadzieścia obrączkowych.

— Zapomniałem jeszcze dodać to jejmości, że młodzieniec wskakując przez okno, ozwał się do starego po włosku i wymówił, jeżeli się nie mylę: Col pie de piombo.

— Doskonały jesteś panie Sztrom na szpiega! Tegom się właśnie spodziewała, więc to Włoch! wiem już teraz wszystko, i bardzo panu memu dziękuję. No idź teraz poczciwa duszo, ja także spać zamyślam.

A odwróciwszy się do ściany po odejściu Sztroma rzekła do siebie, z wyrazem pewnej radości:

— Wszystko tak, jak się domyślałam. Będą grube pieniądze!

VI.

Zaręczyny.

Wypada nam teraz zajrzyć znowu do Buczacza, zkąd już tak dawno oddaliliśmy się, a gdzie teraz przebywa jedna z najwięcej nas obchodzących osobistości, bo prawie bohatyrka powieści.

W Buczaczu wszystko prawie po dawnemu, prócz nowych osób które doń zagościły. Pan Wolski wrócił już z wyprawy myśliwskiej i rozjechał się z panem Kijeną, od którego dowiedział się o wszystkich szczegółach, dotyczących się córki i żony.

Jakież było zadziwienie jego, gdy nagle ujrzał je przed sobą. Czy prócz zadziwienia inne nie powstało w nim uczucie, nie będziemy tak ściśle rozważać, ani też myślimy się rozpisywać nad przywitaniem jego z niemi. Łatwo się czytelnicy domyślą, ile tam było szczerych wymówek, fochów, gniewu i łez z jednej strony, a ile udanej serdeczności, żalu i uczucia z drugiej strony. Pani Wolska opuściła wszakże nieco z rygoru, na który przez tyle czasu zbierała się z silnem postanowieniem odwetu za swoje opuszczenie i zgryzoty i czas bez gdyrania stracony; widząc, jak szanowny małżonek wysoce stoi w łasce starosty Kaniowskiego. Jakoś całej rodzinie doskonale działo się w zamku buczackim, gdzie dano im najlepsze pomieszkanie gościnne, codziennie proszono ich na dobre pańskie obiady, a pan starosta szczególne okazywał im względy. Rozmaite działały w tej mierze okoliczności na umysł pana Kaniowskiego. Prócz przyjaźni jaką miał rzeczywiście dla pana Wolskiego, podobały mu się i matka i córka, córka świeżemi wdziękami swemi, a matka swoją dworską rozmową, bo pani Wolska języka w gębie nie zapomniała i umiała niejedno staroście rozpowiedzieć o Warszawie, a czego nie wiedziała dobrze, toć przecie nie brakowało jej na koncepcie do skłamania. Wkrótce też nowa zaszła okoliczność. Pan Krzymuski, jakkolwiek dotąd był nieczuły na wdzięki niewieście i w stanie kawalerskim mocno smakować się zdawał, rozkochał się nagle na piękne w nadobnej Anusi i postanowił się z nią dozgonnym miłości małżeńskiej połączyć węzłem. Starosta nic nie miał naprzeciw temu i owszem pochwalił mu to, a rodzice naturalnie najmilej przyjęli to oświadczenie.

Jedna biedna Anusia nie podzielała ogólnego wszystkich zadowolenia. Przekonawszy że tu nie żartem już idzie o szczęście całego życia, posmutniała i ciągłemi prawie zalewała się łzami. Lecz cóż miała robić? Były to jeszcze czasy, w których panience dobrze wychowanej nie wolno było innej mieć woli prócz rodzicielskiej. Jedyną otuchę znajdywała u Anastazyi, owej pięknej goralce, którą Wolski przywiózł z sobą pod pozorem jak wiemy jakiegoś klasztoru. Zobaczywszy najdroższą połowicę, Bóg widzi jak mu trudno przyszło wyłgać się, stanęło wszakże na tem, że Anastazja została niby panną służącą, a więcej jeszcze towarzyszką Anusi, do której poczciwa córka gór przywiązała się z całą szczerością swego poczciwego, od rodzinnych uczuć oderwanego serca. Płakały obydwie razem, widząc jak coraz więcej zbliża się fatalna godzina stanowczego słowa.

Jakoż w chwili, gdy wracamy nazad do zamku buczackiego, stoi właśnie w zamku stół nakryty. Trzecia godzina wybiła; pan starosta swoim zwyczajem z ciekawością przypatrywał się misternemu zegarkowi swemu, a odwróciwszy się do stojących koło siebie księdza Rafałowicza i Krzymuskiego, ozwał się do tego ostatniego.

— Lubię dobre koncepta i szczerze się cieszę, że waść tandem o postanowieniu swojem zamyślasz. Idź teraz na przeciw rodziców i narzeczonej i proś ich do stołu. Atencja ta z waćpana strony będzie im przyjemną. Nareszcie najlepiej będzie przyspieszyć akt ten, szkoda i dzisiejszej niedzieli, mogła by być pierwsza zapowiedź.

— Stopy j. w. pana ściskam najpokorniej, odpowiedział Krzymuski. J. w. pan raczy podług powziętego zamiaru przewodniczyć dzisiaj zaręczynom, aby już ślub nasz przyszedł jak najprędzej do kresu.

— Zapewne, że tak najlepiej będzie, odezwał się ksiądz Rafałowicz. Skoro stanęła już obopólna decyzja, najlepiej zaraz ogłosić zapowiedzi i ślub wziąć. Panu Krzymuskiemu osobliwie spieszyć się trzeba, bo fortuna ciągle z łaski j. w. pana na niego się sypiąca, mimowolnie pyta frasobliwie: et haec quae congregasti cujus erunt.

Inaczej działo się w pokojach gościnnych, na mieszkanie państwa Wolskich przeznaczonych. Anastazja porządkując porozrzucane rzeczy, ze smutkiem poglądała na Anusę zapłakaną, ubraną cudnie i świątecznie. Do podniesienia jej wdzięków nic nie brakowało, oprócz rozjaśnionej i rozweselonej twarzy.

Pani Wolska niemniej, ale po staroświecku utrefiona, powstała wreszcie z miejsca swego i dawszy znak mężowi, zbierała się do wychodu.

— Jakie to głupstwo płakać, ozwała się do córki. Tak być musi i koniec. Człowiek porządny, dobrze się nazywa, cnotliwy, czegóż więcej żądać. Bardzo więc proszę, żadnych mi nie robić kaprysów, bo ja tego nie lubię, rozumiesz aspanna.

— Z resztą, dodał pan Wolski, podając płaszczyki żonie i córce, jak będzie potrzeba, to potrafimy poprosić.

Wyszli nareszcie. W sieniach zamkowych czekał już na nich pan Krzymuski i witał z wielkiem uszanowaniem, wedle naszych dawnych zwyczajów, w których ceremoniałem była powaga i przyzwoitość. Na pokojach zaś witał starosta gości swoich z powagą, wymierzoną podług pewnej miary, stosownej do ich społecznego położenia. Umiano to dawniej doskonale urządzić, aby ani sobie ani drugim nie uchybić. Piękne to były te wszystkie nasze dawne zwy-

czaje, te ruchy poważne, prawdziwie polskie, które szlachtę naszą odznaczały, poniknęło to wszystko teraz; chyba czasem można zdybać coś podobnego na deskach teatralnych. Lecz są to najwięcej przesadzone i nienaturalne naśladowania.

Siedli nareszcie wszyscy do stołu, a było wszystkiego pięć osób. Na pierwszem miejscu usiadł sam pan starosta, posadziwszy po prawej ręce matkę, a po lewej córkę. Koło pani Wolskiej siedział pan Krzymuski, któremu pan Wolski odstąpił naumyślnie to sobie należące miejsce, wolał bowiem nawet siedzieć wprost naprzeciw pana starosty, by patrzyć mu się w oczy, i z nich jako prawdziwy dworak odgadywać humor pański.

Zaczęli obiad od gdańskiej wódeczki, zakąszonej piernikiem toruńskim. Mężczyzni wypili po sporym kieliszku i to duszkiem, pani Wolska wypiła także, ale znalazła potrzebę, użyć niemało ceregielów, przykładając kieliszek do ust, to znowu odsuwając i popijając pomału, co starostę niepospolicie nudziło. Jako grzeczny gospodarz nieukazał tego jednakże po sobie, przeciwnie przy zupie zaraz obrócił się z rozmową do pani Wolskiej, chwytając za pierwszy lepszy przedmiot.

— Nie wiem prawdziwie, ozwał się do niej, na jakim ja teraz bożym świecie żyję. Bałamucę się jak mogę ale nie mogę nie przyznać, że się wszystko zmienia. Ot naprzykład co do tej wódki gdańskiej i toruńskich pierników, dalej niedostaniemy już ani jednego ani drugiego artykułu takiej przynajmniej jak dotąd doskonałości. Dają nam jakieś surogaty, które pewnie nie pochodzą z tych miejsc, do jakich udawaliśmy się zawsze z dziada pradziada.

— We wszystkiem panie starosto dobrodzieju! odrzekła pani Wolska, krzywiąc twarz swoją do pewnej powagi i uroczystości, religia pocieszycielką i przewodniczką nam być powinna, pocieszycielką aby złe które nam wyrządzono cierpliwie znosić, przewodniczką, aby znowu sił nabrać, i złe które nam na przyszłość wyrządzić zamierzają, z równą znieść cierpliwością, przygotowując się doń.

— Przedziwna sentencja, ozwał się starosta między skrzywieniem się a ziewnieniem; widać że asani dobrodziejka przybywasz do nas ze stron Stanisławowskich. Tam to tak od głowy zacząwszy myślą, i na to się zgadzają aby naśladować wielbłądy, tak jak one giąć kolana, gdy ciężary nakładają. Ot dajmy temu pokój! szkoda gęby! Ot wolimy panie rotmistrzu napić się węgrzyna; wszak to mówią przecie, że po zupie kieliszek wina, to dukat na doktora zostanie w kieszeni. I z resztą nie na dzień dzisiejszy smutne dyskursa i auspicia.

Kielichy też szły rączo, w czem gospodarz przewodniczył umiejętnie. Jedna Anusia biedna trzęsła się cała, ani pić ani jeść nawet nie mogła, wodę tylko sobie ciągle nalewała i nią się cuciła jak mogła.

Półmiski następywały po sobie liczne, obfite, jak to w ów czas po domach zamożnych było w zwyczaju. Pan starosta rozumie się samo przez się, brał pierwszy, zrobiwszy tylko z początku tę ceremonją, jakoby piewszeństwo to pani Wolskiej odstępował.

Starosta coraz był weselszy, ale bo też jadł i pił sowicie.

— Lubię ja bardzo, ozwał się nagle, obiady w pięciu. Przypomina mi to czasy mojej młodości, kiedy pięciu nas Potockich dawaliśmy sobie kolejno takie obiadki doskonałe, na które kurjery zwozili co tylko północ, południe, wschód i zachód dostarczyć mogły. A jakie mosanie pijaliśmy wina, dziś jeszcze delektuję się samem wspomnieniem.

Zwrócił się też z kolei przez grzeczność do panny Anny.

— Wierzaj mi wasińdzka, że sentymentów swoich ku nikomu godniej zwrócić nie możesz, jak ku panu Krzymuskiemu. Poczciwy to i wierny człowiek, a choć stary, ale jary, i bene se habens, co znaczy po polsku: dobrze się ma.

Wyrazy te jeszcze mocniej zmieszały biedną dziewczynę, łzy zakręciły się jej w oczach, jedna nawet niepostrzeżenie padła do szklanki wody.

Wniesiono dzika z głogowym sosem, faworytalną potrawę samego starosty.

— Poczciwy rotmistrz, nie zapomniał że ja lubię dziczyznę.

Służba przynosiła znowu nowe butelki wina, które wnet nikły zastępywane innemi. Na koncepcie coraz nowych zdrowiów nie brakowało nikomu w towarzystwie.

— A teraz moi panowie, przemówił pan Potocki, podnosząc spory kielich w górę: piję zdrowie pana Krzymuskiego i godnej jego narzeczonej, jegomość panny Anny Wolskiej, którzy dziś zamyślają celebrować zaręczyny swoje. Śmiało rzec możemy, że znajdzie on w osobie zacnej oblubienicy swojej dostateczną rekompensę cnót swoich, które tylekrotnie wypróbować miałem sposobność. Słusznie to mówią: uxor bona mariti corona! I ziści się to na tem stadle, czego życzemy, i co daj boże!

Wypił duszkiem, i wszyscy za nim duszkiem wychylili. Skończył się nareszcie przewlekły obiad, który nikomu się tak nudnym nie wydawał, jak biednej zafrasowanej Anusi. Powstali mężczyźni dobrze podchmieleni, a nawet i pani Wolska poczuła szmermela w głowie, i wszyscy poszli do pokoju bawialnego, gdzie podano czarną kawę w wielkich filiżankach. Niedawno ta zamorska inwencja coraz się więcej u nas naśladować lubiących rozprzestrzeniała.

Po kawie ksiądz Rafałowicz podał na małej tacce dwa pierścionki, z których jeden podług zwyczaju był mniejszy, a drugi większy.

Starosta przystąpił do Anusi z grzecznym, a nawet z zalotnym nieco uśmiechem, i poprosił o piękną rączkę. Anna nieco zastraszona, niewiedziała sama co począć, i

nim zdołała przyjść do siebie, już pierścionek był na jej palcu.

Pani Wolska uczyniła to samo, wkładając większy pierścionek na jeden z grubych i czarnych palców pana Krzymuskiego. Uznała za dobre rozczulić się przy tem, a nawet rozpłakać, i ozwała się do przyszłego zięcia z najpociescniejszą afektacją:

— Pamiętaj panie Krzymuski, że bierzesz to dziecko z domu, które jest znany od Bałtyckiego aż do Czarnego morza.

— Będę to pamiętać całe życie! odrzekł pan Krzymuski, nisko się kłaniając.

Pan Potocki zaś ozwał się z uroczystą miną:

— Niechaj Bóg pobłogosławi nowej parze; niech ją obdarzy wszelkiemi dobrodziejstwy. Ja z mojej strony uznając długoletnie a wierne usługi jegomość pana Krzymuskiego, summę którą mam u pana starosty Olchowieckiego, ceduję w sposobie, w jakim ona dzisiaj jest płatną, na nowożeńców!...

Nastąpiły dziękczynienia ze strony rodziców, uniżone ukłony pana Krzymuskiego. Anusia nawet dygnęła machinalnie, orlim wzrokiem matki przynaglona. Zbliżył się nareszcie i ksiądz Rafałowicz, a utwierdziwszy pierwej palcami wprawione zęby swoje, przemówił z namaszczeniem, oczy wzniosłszy w niebo:

— Benedicat vos omnipotens, in nomine patris, filii et spiritus sancti. Wkrótce będę miał sposobność pobłogosławić tej dobrze dobranej parze, i wymówię nad wami: quod deus conjunxit, homo non separet.

Weszła na to służba z ogromnemi kielichami, na wielkie tylko uroczystości przeznaczonemi. Pan Potocki wypił zdrowie zaręczonych już państwa młodych.

— Sute będzie wesele tej pary, wyszekł zwrócony do niej: będę umiał tak je urządzić, że każdy przyzna i mimowolnie sobie szepnie, jak równą jest przyjaźń moja do Wolskiego, wdzięczności którą mam dla Krzymuskiego. Szkoda tylko że nie ma tu mego poczciwego Herneka; on by był sporządził jakiś transparencik, stosowny do okoliczności, i wystąpiłby z jakąś illuminacją!...

— Obejdziemy się bez tego łotra przywłoki, Jaśnie wielmożny panie! ozwał się Krzymuski żywo.

— A że waszeć jesteś zawsze takim antagonistą tego poczciwca.

— Ma racją, wtrącił ksiądz Rafałowicz. W krótce sam się J. W. Pan przekonasz, że czynności tego człowieka są pełne fałszu, kału i podłości.

— Zobaczymy! odpowiedział pan Potocki.

Nie skończyło się na jednym kielichu; następowały coraz nowe zdrowia. Wszyscy pili, a nawet pani Wolska niby półgębkiem, ale ze smakiem popijała starego Węgrzyna. Anusia korzystając z zamieszania i gwaru, wymknęła się cichaczem z zamku, i pobiegła do swego pokoiku wypłakać się na łonie wiernej Anastazyi. Biedna dziewczyna żadnej nie mając determinacyi, umiała tylko płakać i narzekać.

— Źle się dzieje zemną kochana Anastazjo! mówiła wśród płaczu i łkania.. Siłą mnie chcą wydać za mąż, za tego brzydkiego, starego rządzcę. Już nie tylko o zapowiedziach, ale i o ślubie mowa. Patrzaj Naściu! ten straszny starosta sam włożył mi ten pierścień na palec.

I zerwawszy go z palca, rzuciła nim o ziemię, aż gdzieś w kącie pokoju zadzwonił.

— Bóg z wami moja pannuniu! Bóg biednych i niewinnych nie opuszcza. Ot i ze mną bóg to jeden wie, co zrobić chcieli, i jaką przygotowali zdradę. To całe moje szczęście, żeście pierwej z matką do Buczacza przyjechały.

(C. d. n.)

Skarga pieśniarza.

Mogłem być znaczny na świecie,
I bogatszy w mym powiecie,
Ale cel mego żywota.
Niebył zbierać siła złota.
M. K.

To papką, to czapką, to prośbą, to siłą,
Zhołdowałbym losy, zhołdowałbym ludzi,
Jużby się i złota i cześci dobiło, —
Lecz chciwość i pycha żądz moich niebudzi,
Zgasiwszy ich ognie w najpierwszej iskierce,
Wybrałem ubóstwo, piosenkę i serce.

Lecz biada wśród ludzi, kto żądz ich niedzieli! —
Ze skromnem rojeniem ukrywać się każą,
Ubóstwo wyśmieli, przy pieśni zasnęli,
A święte uczucie okryli potwarzą, —
I lecąc przed ołtarz Mammona i Pychy
Zburzyli mój uchron, zburzyli mój cichy.

O! czemuż w mych modłach niebyło modlitwy,
Do cielca Baala, do bożka czczej chluby:
Z ich własnym orężem stanąwszy do bitwy,
Podeptałbym pysznych i starł samoluby;
Silniejszą przewagę uznawszy w pokorze
Znieważać me serce przestaliby może.

W. Syrokomla.

OBRAZKI WIEJSKIE.

przez

Bolesława Kopcia.

Żółta kareta.

(Ciąg dalszy.)

Niespokojne i ciekawe panienki rade były otworzyć pudła z kapeluszami, lecz przestrzeżone od matki aby

tego nie czyniły, dopóki ojciec nie przyjdzie, poprzestały na uchylaniu wieka pudła i na różnych domysłach.

— Może jeszcze da się ubić jeden procent, to i to było by dobrze, mówił pan Obrobski ukazując się z Pinkusem na ganku.

— No to wielmożny pan już by go i zgubił, odezwał się plenipotent, poufale chwytając za rękę swego obywatela.

— Co znowu gadasz, jeśli on zginie wtenczas, kiedy go ściągniemy na 14 procent, to i ten jeden już go nie podniesie.

— A i pana nie zbogaci, dodał żyd uśmiechając się.

— Prawda, ale widzisz Pinkusie, lepiej mnie jak jemu.

— Aj! jaki pan ma głowe, rzekł Pinkus i wyjmując paczkę z za długiego żupana, oddał ją Obrobskiemu.

— Cóż to mi dajesz?

— No cóż jak nie guziki i blachy.

— Bodajcie, prawda to dla tych chamów, żono masz tu guzy i blachy do liberji, ale jakież są na nich herby?

— Z przeproszeniem nie takie jakieś mi pan poprzepisywał, w całem mieście ja ich obszukać nie mogłem.

— A niech cię djabli porwą! jakże ja moich ludzi ubiorę w cudze herby?

— Et z przeproszeniem jaśnie pana, mówił cmokając Pinkus, pan wielmożny mówił jakbi pies, a tam jest jakbi liew, toć to lew wspianiałe stworzenie; pod psem miał być jakbi osioł, a tu jest jakbi dzik, no osioł a dzik to wielkie diferencje?? i w około miały być sziszki, a tu są żołądź od dąba, no co? dzik i żołądź, czy to nie pasuje?? no? kto tam będzie się tak rozglądywać na guziki stejngreta i lokaja, kiedy jak zobaczą kocz, koni i twarzy państwa, to zaraz krzikną vivat! jaśnie pani i panie.

— Co vivat krzykną, tak jak my tobie? dobrze tłómaczysz Pinkusie, ale to w praktyce nie da się zastósować.

— Co się niema stosować? no i co było robić kiedy w całem mieście nie było innych herb??

— Tak, co było robić! no zanieś to, albo czekaj, lepiej po szabasie oddać Joskowi, niech je poprzyszywa do liberji. I paczkę odebrała pani Obrobska opowiadając mężowi jak Jakób przyglądał się powozowi z za płotu; roześmiał się pan Obrobski, zeszedł z ganku i oglądając w około rzekł: Wszyscy już powóz widzieli a tego bydlaka nie widać.

— A prawda Szpicek, Salamon nie ciekawy, wołały panny, klaszcząc w ręce, haha jak to on się zadziwi, i pobiegły po ową istotę, którą tak pochlebnie tytułowały.

Niedługo wyszedł z sieni jakiś wysoki, chudy nadzwyczaj (chociaż nie wiem czy jest we zwyczaju być chudym), ubrany nędznie w resztki jakiegoś pańskiego odzienia; twarz miał długą, wyżółkłą, oczy bez żadnego wyrazu, błędne, leniwe, uszy ogromne, ręce bezwładnie ku ziemi spuszczone.

— Szpicek chodź tu, zawołał pan Obrobski, a cóżeś ty robił, żeś jeszcze nie wyszedł obejrzyć powozu?..

— Spałem, odpowiedział niedołęga, i przechodząc obok gawiedzi dworskiej, dał się popychać, szarpać dziewkom i chłopakom, drwinkującym jak i państwo z niedołęstwa jego.

— Patrzaj no, za jakim to powozem będziesz jeździł, patrzaj, za te kutasy będziesz się trzymał, mówił Obrobski, pokazując mu w tyle powozu jedwabne taśmy. Na to wszystko ow człowiek nie odpowiedział ani słowem ani uśmiechem, lecz stanąwszy, wlepił oczy w powóz i nie ruszał się z miejsca. Był to człowiek upośledzony od natury, do niczego nie zdatny z własnego pomysłu, chociaż mógł dużo zrobić jako machina, jako wykonawca elementarnych cudzych rozkazów; nieszczęśliwa ta istota była pośmiewiskiem wszystkich we dworze i na wsi, nosząc liczne nazwy a jednę lepszą nad drugą, odbierając od lada kogo guzy i obelgi, nie mogła się bronić, bo duch w niej zamarł a może i nigdy nie bytował, istniała tylko jeszcze ta mała i najpodlejsza cząstka życia wewnętrznego, którą nazywamy siłami żywotnemi.

— Chodźcie tu! o jakie śliczne! wołał pan Obrobski, podnosząc w górę kapelusze, wyjęte z pudeł. Jakób tu, Szpicek tu, patrzcie! to wy te kapelusze nosić będziecie, ale szelmy! mówił pan Obrobski, grożąc palcem, powymywać sobie jutro łby, bo jak jedna plamka będzie na podszewce, to wam łeb każę ze skóry oparzyć!

Na te słowa pociechy, Jakób pożerając wzrokiem kapelusz z szerokim srebrnym galonem, ścisnął nogi jaśnie pana i całując go w rękę, rzekł:

— Umyję się, wyszoruję, dali Bóg trzeć łeb będę co wlezie.

Szpicek zaś musnął się tylko ręką po głowie i powtórzył: Oparzyć... czem wywołał śmiech całej dworszczyzny. Pani Obrobska pocierając ręką po głowie Jakóbka, dodała:

— Tak to, moje życie, wymyć, wysmarować, wyparzyć sobie głowy, przyjdźcie do mnie jutro, dam wam mydła, żebyście już sobie doskonale głowy oczyścili, widzicie, niczego wam nie żałuję.

— Dziękuję jaśnie pani, wymyję co wlezie, rzekł prawie z płaczem Jakób i uścisnął nogi dziedziczki.

— Co to za kapelusze! a to jabym w nich mógł

chodzić, mówił p. Obrobski, przymierzając sobie jeden z nich na głowę, a co nie dobry?

— Prześlicznie ci mężu; prześlicznie papie zawołały córki.

— To ja go nosić będę, a tym durniom powsadzam pudła na głowy, powiedział p. Obrobski i głośno się zaśmiał ze swego dowcipu.

— A probowaliście siedzenia? czy miękkie?

— Nie, proszę papy.

— No to siadajcie, i pchnął córki ku powozowi. Dziewczęta chętnie wskoczyły do środka powozu i śmiejąc się do rozpuku, usiadły obok siebie na przodzie.

— I ty siadaj. Więc i pani Obrobska podparta na mężu, wlazła do powozu i usiadła po prawej stronie; nareszcie i sam pan Obrobski usiadł obok małżonki, oparł na kolanach, i precz w lokajskim kapeluszu, unosząc się całym korpusem, probował elastyczności siedzenia.

— Panie malarzu, chodź, pan usiądź, wołał na mnie.

— Będzie za ciasno, odpowiedziałem śmiejąc się serdecznie.

— Ale gdzie tam za ciasno, obok mnie pan usiądziesz, mówiła dziedziczka, tuląc do siebie suknię, jakby dla zrobienia mi miejsca.

— Nie panie, wolę zostać.

— Chodź pan, panie malarzu, wołały panienki.

— Zostanę i będę się z ganku przypatrywał, to będzie piękny widok!

— Jakób, wleź na kozioł, zawołał Obrobski, zwalniając mnie z zaproszenia.

— Eee, jaśnie panie, mówił Jakób, śmiejąc się i trąc ręką pod nosem,

— Siadaj, będziem w komplecie, pan malarz i Pinkus nas osądzą.

— O ja już was dawno osądziłem jak wyglądacie, pomyślałem sobie w duchu i spojrzałem na mądrego Pinkusa, dowcipnie mrugającego okiem.

Gdy Jakób wzdragał się usiąść na kozioł, Obrobski wychylił się z powozu, silnie uderzył go w kark i krzyknąwszy: Siadaj durniu kiedy ci każę, zmusił Jakóba, że drapiąc się po kołach i stopniach, wlazł na kozioł i śmiejąc się, usiadł w postawie powożącego.

Ah! malować takie widoki tak śmieszne, dziwne a na nieszczęście najrzeczywistsze! Natężyłem całą myśl moją, aby w niej odbić tę familją rospostartą w koczu, z furmanem na koźle i z dyszlem, przy którym nie ma żadnego konia! Lecz i ta myśl szczęśliwa przyszła po kilku chwilach do głowy pani Obrobskiej, gdy poprawiając sobie suknie i czepek, myśląc że jedzie do Dobrowólki, rzekła:

— Wygodnie mi bardzo siedzieć, ja już to od dawna czułam, że mnie Pan Bóg do karety stworzył.

— Oj prawda, żeście tylko do karety stworzeni, powiedziałem dość głośno, lecz dla Obrobskich zawsze za cicho i niezrozumiale.

— Wiesz co mężu? czybyśmy się kawaleczek nie przejechali? zobaczymy jak powóz idzie.

— A dobrze, lecz jak jechać, kiedy koni nie ma u dyszla?

— Szkapy stoją pod płotem.

— Hej dawaj tu, zaprzęgać konie, Jakób złaź!

Chłopek, który przywiózł karetę, podszedł do niej bliżej, skłonił się czapką do samej ziemi i trąc ręką policzek, odezwał się:

— Niech jaśnie pan pozwoli jechać do domu, koniska już i kroku nie uciągną, już i tak ta mizerota się pozrywała.

— Zaprzęgać! co mi tam do waszych szkap, to miejcie lepsze.

— Jaśnie panie 8 mil wieść karecisko, gospodarze mnie zaturbują że ja ich koniska zmęczył!

— A jak im skórę wyłoję, to będą mieć turbowanie, i ciebie każę zaraz rozciągnąć jak mi nie będziesz zaprzęgać.

Biedny chłopek musiał znowu szkapiny przyprządz do kocza, oddać lejce Jakóbowi i odstępując sam na bok, patrzał markotnie, jak się niszczy jego i gospodarczy dobytek.

— Szpicek, właź za powóz, zawołał pan Obrobski. Gdy Jakób siedząc znowu na koźle, zaczął trzaskać z biczyka chłopskiego, Szpicek posłuszny wlazł za powóz i ujął się taśm obu garściami.

— Jedź! wrzasnął pan Obrobski, lecz konie ani kroku z miejsca, wal bestje! krzyczał jaśnie pan. Jakób walił, szkapy wyciągały karki, sapały, a kareta stała w miejscu!

Chłopkowi aż łzy stanęły w oczach, patrząc jak jego konie się zrywają i z wysilenia chrapią, gdyby mógł toby się sam doprzągł aby im ulżyc, gdy pobudzone krzykiem i smaganiem bata, zdołały się już powoli z miejsca poruszyć. Pan kazał jeździć tylko w okół dziedzińca obszernego, chcąc przez to wprawić Jakóba w zgrabne i szybkie obroty przy kierowaniu końmi. Jakób się popisywał, lecz Szpicek pierwszy raz stojąc za powozem i na takiej wyniosłości, zgiął swą wysoką figurę, przykląkł nieco strwożony ciągłem przechylaniem się z powozu, ujął się całą siłą tasiem, zwieszając się na nich całym swym ciężarem. Obrobski czując że powóz ogromnie się wtył przechyla, wykrzyknął:

— Szpicek, nie ciągnij tak za kutasy, bo mi szelmo je poobrywasz. Lecz gdy i to napomnienie nic nie pomogło, odwrócił się, dał przestrogę policzkową tak silnie, że Szpi-

cek puścił kutasy, usiadł na desce, a następnie padł jak długi na ziemię.

Z wypadku Szpicka powstał śmiech ogólny, nie wyłączając godnej powozowej familji, a pan Obrobski widząc że szkapy jakoś się rozbiegały i nieźle ciągną, kazał Jakóbowi wyjechać na gościniec. Jakóbowi tylko tego potrzeba było, klasnął z bicza, podciął szkapy i jakby chcąc dobić chłopa, który zaczął wywodzić swe skargi, przed stojącymi obok siebie ludźmi, w galopie wyjechał z dziedzińca na gościniec, wysadzony pięknemi staremi lipami. Lecz szczęście jest nietrwałe, zwłaszcza gdy go głupcy posiedą, a oni go tak łatwo posiąść potrafią; i tym razem szczęście familji rozpostartej w żółtym koczu, miało za chwilę zginąć za czarną chmurą, złożoną z obelżywych słów i zdań oświeconego Agucia.

Gdy powóz odjechał o jakie pół wiorsty od dworu, wyszedł na ganek młody człowiek, wysoki, twarzy szczupłej, prawie ładnej, lecz ze śladami nadużycia młodości, oczu dużych, jasnych i lekko zmrużonych, głowa okryta jasno-białemi, w kędziory naturalne zwiniętemi włosami, łączącemi się z nastroszonemi faworytami i bródka długą na pół cala; ów młody ubrany niedbale i dziwnie, miał szyję obnażoną, piersi także wyglądały z pod koszuli, na której wisiał spancerek niebieskiego koloru z czerwonemi wyszyciami i kutasikami, chude nogi miał powleczone jakimś deseniem w którymby cały rodzaj małpi i jeleni swoje portrety mógł znaleść; mając w ustach cygaro, ręce wpuszczone w kieszenie, z miną miljonera wyszedł na ganek, skłonił mi się lekko głową, potem podając mi rękę białą cedził przez zęby:

— Siostra mi mówiła że pan malarz, prosto jedziesz z Warszawy, bardzo nam miło pana poznać, bo artystów i na wsi cenić umiemy.

— To artystów, panie Agacio, bo zapewne z nim mam przyjemność mówić, ale ja nie jestem artystą, tylko prostym amatorem, który wożąc z sobą ołówki, farby i pędzle dla własnej przyjemności, jeśli może i komu czemciś się przysłużyć, czynię to bez najmniejszej pretensji i zarozumienia.

— A! to pan amator, nie jeździsz za zarobkiem? przecież w jakim rodzaju pan malujesz?

— W rodzaju humoru.

— Jakto w rodzaju humoru? ja się pytam czy pan naśladujesz Rembrandta, Rubensa, Verneta, Heimsbecka, a może Broora lub Andrea del Sarto, kawalera Micheli, może Benwenuto Cellini jest pana ideałem.

— Nie panie, ja tych malarzy, których pan wymieniłeś, ledwie znam z kilku ich oryginałów, ideałem zaś moim jest cała szkoła polskich malarzy.

— Naprzykład któż taki, czy znam którego?

— O znać pan musisz, Suchodolski?

— Suchodolski, polskie nazwisko, nie, nie znam.

— Czechowicz, Brodowski, Kokular, Zalewski. Hadziewicz, Lesser i mnóstwo innych, a wszystko znakomitych artystów, ja ich staram się naśladować. [Kłamałem bo ani pretensji nie mam być naśladowcą tych ozdób polskiego szeregu malarzy, lecz bawiąc się pędzlem, bazgrzę co mi myśl przyniesie, jak instynkt pokieruje i ochota wykończy].

— Ależ to pan naśladujesz same mierności, profanów sztuki, ja ich nawet z nazwisk nie znam, choć tyle widziadziałem, tyle czytałem.

— Nie czytujesz widać pan gazet, bo i z tych o artystach polskich mógłbyś się dużo dowiedzieć.

— Tak szczelnie gazet nie czytuję, przyznam, to dosyć; pozwól pan ze mną, pokażę panu prawdziwe arcydzieła szkoły włoskiej i niemieckiej. Weszliśmy przez sień do gabinetu Agacia, w którym panował artystyczny nieporządek.

(D. n.)

Rozmaitość.

* Z dniem 1go grudnia b. r. otwartą zostanie szkoła agronomiczna w Dublanach. Dyrektor zakładu p. Lelowski już objął swą posadę przed kilku miesiącami. Professorowie nie są jeszcze mianowani. Zdaje się iż kandydaci będą musieli konkurs odpisywać lub dziełami w zawodzie, w którym naukę wykładać mają, wykazywać się z swych zdolnosci. Inaczej nawet być nie może. Trudno bowiem, aby na polecenia prywatnych osób przy obsadzeniu katedr professorskich zważano. Byłby to bowiem niepraktykowany dotąd sposób, jak najgorsze dla Zakładu stawiający horoskopy, podający na chybił trafił całą przyszłość tej szkoły. Warunki pod jakiemi uczniowie przyjęci będą, są następujące:

Chcący wstąpić do Zakładu ma udowodnić metryką, że 15. rok swego życia skończył.

Ma złożyć świadectwo, że przynajmiej czwartą niższą klasę realną albo takąż klasę gymnazyalną z dobrym postępem ukończył. W razie jednak niemożności złożenia tego świadectwa, na egzaminie wstępnym może okazać, że posiada zdolności i dostateczne przygotowanie, ażeby mógł pojąć nauki wykładać się mające. Szczególny wzgląd będzie się mieć na kandydatów, posiadających praktykę gospodarską.

Powinien wykazać się świadectwem zdrowia, przez zakładowego lekarza potwierdzonem.

Przedłożyć świadectwo moralności, przez dwóch członków Towarzystwa gospodarskiego poparte.

Małoletni ma wywieść się pozwoleniem od ojca lub opiekuna do wstąpienia do Zakładu.

Za każdy rok nauki ma złożyć do kasy szkolnej Zakładu 50 złr. m. k., za którą opłatę, półrocznie z góry uiszczaną, będzie miał także pomieszkanie, opatrzone sprzętami i meblami, pościel zakładową, tudzież w razie choroby pomoc lekarską.

Za stół, opał, światło, pranie bielizny, ma złożyć zaraz przy wstępie, do kasy szkolnej półroczną należytość w kwocie 110 złr. m. k. Ta opłata w następnych półroczach uledz może zmianie, gdyby tego ceny produktów i inne okoliczności wymagały.

Ma się poddać bezwarunkowo przepisom i prawidłom w Zakładzie zaprowadzonym.

Każdy uczeń mieć powinien potrzebne do rysunku narzędzia i materjały, których dostać może w Zakładzie po niskich cenach.

O wymaganej dla każdego ucznia bieliznie i odzieży dowiedzieć się można w kancelarji Towarzystwa gospodarskiego.

Prośby o przyjęcie do Zakładu mają być nadsyłane franko do »Komitetu c. k. Towarzystwa gospodarskiego we Lwowie«, najdalej do dnia 15. listopada b. roku.

* W lwowskim okręgu administracyjnym umarło oprócz Lwowa do dnia 15 września na cholerę 22797 a 9112 pozostało w kuracyi. Najsilniej cholera grasowała w obwodzie Złoczowskim.

* Dnia 1go października odbyła się pierwsza próba jazdy koleją żelazną z Krakowa do Dembicy w 3 1/2 godziny bez przeszkody. Jazdę z powrotem z Dembicy do Tarnowa odbyto w 50. minutach, z Tarnowa do Bochni w 55. minut.

* Mylnie Czas donosi, iż artysta sceny polskiej, p. Nowakowski pozyskany został przez dyrektora teatru p. Pfeiffra dla sceny krakowskiej. Pan Nowakowski pozostanie nadal we Lwowie, niebędzie jednak występywał na scenie, lecz zajmować się będzie nauką spiewu i muzyki. Z towarzystwa sceny lwowskiej zaś udaje się p. Kaliciński po Wielkiejnocy do warszawskiego teatru.

* Zjazd wsiowych do Lwowa jest obecnie nadzwyczajny. Przyczyną tego jest nowa organizacja Galicyi. Każdy spieszy do Lwowa aby sprawy swe sądowe uporządkować, przenieść do sądów obwodowych, akta poodbierać lwowskim, a oddać nowo przy sądach obwodowych mianowanym adwokatom. Oprócz tego zjeżdża się szlachta bardzo licznie na mieszkanie zimowe we Lwowie. Karnawał więc tegoroczny będzie bardzo ożywiony.

Przyjechali od dnia 16. do 17. Października do Lwowa.

PP. Grzegórz Jan, z Krakowa. Orzechowski Jan, z Chodorowa. Dornbach Rajmund, ze Żukowa. Skolimowski Julian, z Dynisk. Karnicka Ewelina hr. z Bilczy. Siemieński Konstanty hr. z Tarnopola.

PP. Danek Wincenty, z Przemyśla. Kozłowski Anastazy z Malawy. Balzer Franciszek, z Chodorowa. Czajkowski Jan, z Kamionki. Łączyński Hipolit, z Liska. Malczewski Juliusz z Krakowa. Gostyński Adam z Olszanicy. Stadnicki Bronisław hr. z Nakła.

Wyjechali od dnia 16. do 17. Października ze Lwowa.

PP. Szymanowski Franciszek, do Żółkwi. Gumowski Wiktor, do Borek. Nowosielski Ludwik, do Zbory. Kucher Franciszek, do Stanisławowa. Teubner Karol, do Krakowa.

PP. Wojczyński Alfred, do Tuligłów. Gottlieb Feliks do Dołhomościsk. Starzyński Józef br. do Mogielnicy.

Kurs telegrafowany z Wiednia 17. b. m. o g. 2. popołud

Augsburg za 100 złr. .	113 1/4	Pożyczka 5%	74 3/4 —
Hamburg za 100 tal. banco	82 1/4	Akcye banku	1065
Londyn za 1 funt szterl.,	11	Kolej północna	2024 1/2
Medyolan za 300 lirów	111 5/8	Obl. ind.	70 3/8
Paryż za 300 franków .	131	Nowa pożyczka z loteryą	97 3/8
Agio duk. ces.	17 1/2	Pożyczka narodowa . .	78 3/8

Wczorajszy Kurs Lwowski

	Gotówką				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	15	złr.	5	kr	19
Dukat cesarski	«	5	»	18	»	5	»	21
Półimperyał zł. rosyjski	«	9	«	5	»	9	»	8
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	45	«	1	»	46
Talar pruski	»	1	«	40	»	1	«	42
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	«	15	»	1	»	16
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	91	«	10		91	»	40
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		67	»	—	»	67	«	50
5 proc. pożyczka narodowa		78	»	—	»	79	»	—

Lwów, 17. b. m. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po 37 złr. 30 kr. do 38 złr. 45 kr. — Żyta po 23 złr. 55 kr. do 25 złr. — kr. Jęczmienia po — złr. — kr do — złr. — kr. Owsa po 13 złr. — kr. do 15 złr. 30 kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 21 złr. 30 kr. — Ziemniaków po 10 złr. — kr do 11 złr. 20 kr. Sąg drzewa bukowego — złr. — kr. do 45 złr. 10 kr. Sosnowego po — złr. — kr. do 38 złr. w.w. Cetnar siana 2 złr. 23 kr. do 3 złr. 8 kr. — Centnar słomy 1 złr. 45 kr. do 1 złr. 58 kr. w. w. — Garniec 30 stopniowej okowity beopłaty 4 Złr. 5 kr. do 4 złr. 20 kr. w. w.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**